

SEBASTIAN JUNGER

W MOMENCIE MOJEJ ŚMIERCI



JAK STANĄŁEM TWARZĄ
W TWARZ Z IDEAŁ ŻYCIA
W ZAŚWIATACH



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

W MOMENCIE
MOJEJ
ŚMIERCI

SEBASTIAN JUNGER

W MOMENCIE
MOJEJ
ŚMIERCI



JAK STANAŁEM TWARZĄ
W TWARZ Z IDEA ŻYCIA
W ZAŚWIATACH



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

REDAKCJA: Magdalena Kuźmiuk
SKŁAD: Krzysztof Nierodziński
PROJEKT OKŁADKI: Krzysztof Nierodziński
TŁUMACZENIE: Juliusz Poznański

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8301-921-5

Tytuł oryginału: *In My Time of Dying: How I Came Face to Face with the Idea of an Afterlife*

Copyright © 2024 by Sebastian Junger

© Copyright for the Polish edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2024
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy żadna część tej książki nie może być powielana w jakimkolwiek procesie mechanicznym, fotograficznym lub elektronicznym ani w formie nagrania fonograficznego. Nie może też być przechowywana w systemie wyszukiwania, przesyłana lub w inny sposób kopiowana do użytku publicznego lub prywatnego – w inny sposób niż „dozwolony użytek” obejmujący krótkie cytaty zawarte w artykułach i recenzjach.

Książka ta zawiera informacje dotyczące zdrowia. Wydawca dołożył wszelkich starań, aby były one pełne, rzetelne i zgodne z aktualnym stanem wiedzy w momencie publikacji. Tym niemniej nie powinny one zastępować porady lekarza lub dietetyka, ani też być traktowane jako konsultacja medyczna lub inna. Jeśli podejrzewasz u siebie problemy zdrowotne lub wiesz o nich, powinieneś koniecznie skonsultować się z lekarzem, zanim samodzielnie rozpoczniesz jakikolwiek program poprawy zdrowia. Wydawca ani Autor nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek negatywne skutki dla zdrowia, mogące wystąpić w wyniku stosowania zaprezentowanych w książce metod.



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku.
www.facebook.com/Wydawnictwo.Studio.Astropsychologii



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat

85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – www.talizman.pl – detal
strona wydawnictwa: www.studioastro.pl

Więcej informacji znajdziesz na portalu www.psychotronika.pl

PRINTED IN POLAND

*Książka ta dedykowana jest moim przyjaciołom,
Johnowi Falkowi i Timowi Hetheringtonowi,
którzy odeszli o wiele za wcześnie*

SPIS TREŚCI

<i>Prolog. Czekaliśmy na ciebie</i>	9
CO	21
JEŚLI	81
<i>Nota Autora</i>	141
<i>Podziękowania</i>	143
<i>Źródła</i>	145
<i>O Autorze</i>	160

PROLOG

CZEKAŁIŚMY NA CIEBIE

Miałem przy sobie trzy finy* Al Merrick, a na sobie nową pięciomilimetrową zimową piankę surfingową. Siedząc w kuc-ki na plaży, woskowałem deskę i obserwowałem, jak masywna fala styczniowa łomocze w dalszą ławicę. Na zlodowaciałym piasku walały się wykwity sztormu – pułapki na homary, połamana stolarka, boje, sieci, martwe ryby i krzaki wyrwane piaskom przez fale sztormu. Temperatura wynosiła około minus sześciu stopni, a układ wysokiego ciśnienia wyczyścił niebo z wszelkich chmur i przyniósł zacinający północno-zachodni wiatr, który pięknie podtrzymywał grzbiety fal i obracał je w perz, zanim zdołały zwa-lic się w przód. Fale sięgały wysoko ponad głowę – surfowałem

* Płetwy do deski surfingowej (przyp. tłum.).

już po takich, ale latem; nie miałem pojęcia, że zimą fale łamią się zupełnie inaczej. Widniały jednak tego oznaki: piach z dna unoszony przez czoła fal, nadający im barwę brudnego beżu, oraz uwięzione powietrze, rozrywające ich tylne ściany podczas opadania. Działo się to w przedpołudnie dnia roboczego, w połowie stycznia, byłem więc jedyną osobą na plaży. Wstałem, wziąłem deskę pod pachę i wszedłem do wody.

Miałem neoprenowe buty i kaptur, ale woda była dziwnie ciężka; nawet małe fale miały dużą moc. Dzień wcześniej przy wybrzeżu przeszedł nor'easter i odsyłał idealne fale, które rozbiły się z taką siłą, że woda kipiała niemal do chwili nadejścia kolejnych. Zaczekałem, aż set* przetoczy się nad ławicą, po czym odepchnąłem się od brzegu i powiosłowałem w stronę horyzontu, mając nadzieję, że minę ławicę, zanim pojawią się kolejne fale. Znalazłem się w głębinie między ławicami, ale zewsząd otaczały mnie ogromne sety.

Wypłynąłem za ławicę i usiadłem na desce, twarzą do słońca, mając pod sobą kłębiący się ocean. Plaża była opustoszała wskutek zimowych sztormów i wydawała się bardzo odległa. Kilka razy próbowałem wiosłować, by złapać falę, lecz fale unosiły się i opadały tak szybko, że z walącym sercem ciągle rezygnowałem. Nie wiedziałem, że zimą ławice są bardziej strome, wskutek czego fale nacierają z większą gwałtownością, ani że zimna woda jest gęstsza, przez co rozbija się z większą siłą. W rezultacie fale zimowe są dużo silniejsze i niebezpieczniejsze niż letnie tej samej wielkości. I w zimnej wodzie nie da się wstrzymać oddechu tak samo długo – na dwadzieścia, może trzydzieści sekund. Jedynym sposobem na uchylenie się od mocy łamiącej się fali jest ześlizgnięcie się z deski i głębokie zanurzenie, ale w zależności od temperatury

* Seria fal (przyp. tłum.).

wody można nie być w stanie wstrzymać oddechu na tyle długo, by wzburzenie ustąpiło. Miałem trzydzieści lat, surfowałem na tej plaży od ósmego roku życia i nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mógłbym tu umrzeć.

Po pół godzinie pływania dostrzegłem ogromną falę wzbierającą za ławicą. W miarę zbliżania się ciemniała, piętrząc się z powolną determinacją czegoś, co ma zamiar zabić. Za nią formowało się więcej grzbietów, niczym szeregi rosnącej armii. Skoro zaczynały wyłaniać się tak daleko, to były monstrualnie duże, i nie wiedziałem, czy wiosłować jak szalony, by po nich przepłynąć, zanim się złamią, czy zostać na miejscu i dać się sponiewierać. Główna fala zbliżyła się, wypiętrzyła i w końcu eksplodowała tuż przede mną – w najgorszym możliwym miejscu. Nie mogłem liczyć na niczyją pomoc. Wzięłem ostatni oddech, ześlizgnąłem się z deski i dałem nura na dno.

Jej siła była tak szokująca, że pomyślałem: *Coś jest nie tak*. Smycz od deski od razu trzasnęła. Wiry najpierw wyrzuciły mnie w górę, potem na powrót wciągnęły mnie w głębiny, zafundowały mi salto, zsunęły mi kaptur, wypełniły piankę piaskiem i miotały mną tak, jakby chciały mi zrobić coś złego. Nie miałem pojęcia, gdzie góra, a gdzie dół – co było problematyczne, ponieważ niemal natychmiast skończyło mi się powietrze. Nawet wysoka fala zwykle opada w ciągu kilku sekund, z tą było jednak inaczej – nie ustępowała. Zawzięła się na mnie i miała zamiar miotać mną w ciemności, aż w końcu się poddam i wciągnę wodę do płuc.

Zdumiewała mnie wrogość całej sytuacji – *Dlaczego chcesz właśnie mnie?* Byłem młody i nie wiedziałem, że świat tak po prostu zabija ludzi. Co dziwne, przypomniałem sobie, że w zlewie zostawiłem stos brudnych naczyń, z którymi ktoś będzie musiał się uporać. Na biurku zostały teczki i notatki z materiałami do książki, którą chciałem napisać. Strój roboczy rozrzucony

po podłodze. Moi rodzice mieszkali setki kilometrów ode mnie, ja zaś zajmowałem ich domek letni, żeby pisać książkę. Nie był ocieplony, a grzejniki podłogowe były tak niewydajne i generowały tak wysokie koszty, że bardzo rzadko je włączałem. Chodziłem w ocieplanym stroju roboczym, a spałem w czapce wełnianej i swetrze. Podczas bardzo zimnych nocy zamarzała mi woda pitna. W zasadzie nic mi nie przeszkadzało. A teraz zdawało się, że to wszystko skończone.

Gdy byłem w pralce*, zdałem sobie sprawę, że moje „widzenie” – krąg szarego światła, gdzie bym patrzył, gdybym miał otwarte oczy – zaczyna zanikać. Jednocześnie poczułem, że gardło mi się zaciska, co – jak wiedziałem – skończy się ostatnim wymuszonym oddechem. Nigdy się nie topiłem, ale moje ciało jakimś sposobem wszystko wiedziało. Rozumiało wszystkie znaki, wiedziało, do czego zostanie zmuszone i jak to się skończy.

Krąg światła zmalał do punkciku, a ścisk w gardle był prawie nie do pokonania. Moje myśli skurczyły się do desperackiego *nie, nie, nie*. I wtedy poczułem, że ta okropna siła wody słabnie – nie mocno, lecz wystarczająco, by poczuć wyporność pianki. *Ta* droga była otwarta; jeśli wytrzymam jeszcze trochę, to przetrwam. Pianka pociągnęła mnie w górę. Zrobiłem kilka ruchów nogami. Znowu się uniosłem. Świat zaczął się przejaśniać. Wszystko zieleńiało. Wszystko bieleło. Znalazłem się w pianie. Na powietrzu. Na świecie.

I wtedy zobaczyłem kolejną zbliżającą się falę – tak samo wielką, identycznie złowrogą. Zrobiłem wydech, nabrałem powietrza i z powrotem się zanurzyłem.

* Surfer jest „w pralce”, gdy po złamaniu się fali znajdzie się pod wodą, która nim obraca (przyp. tłum.).

Gdy dobiegałem trzydziestki, pracowałem jako wspinacz dla trzech przedsiębiorstw. Była to dobrze płatna praca, ale powiedziano mi, że jeśli dłużej popracuję, to coś mi się stanie. I popracowałem. Przypinałem się liną piętnaście metrów nad ziemią, na drzewie albo na szczycie pnia, z rakami na nogach, i ciąłem drzewo na kawałki za pomocą piły łańcuchowej. Konary albo pieńki czasami trzeba było mocować i opuszczać, tak aby nie uszkadzały domu ani niczego innego, co było w dole. Potrafiłem ściąć drzewo w obrębie obwodu jego korony. Potrafiłem pociąć trzydziestometrową sosnę wejmutkę i opuścić każdy kawałek, prawie nie wgniatając trawnika. Bałem się wysokości, ale nauczyłem się nie patrzeć w dół; skupiałem się na tym, co przede mną, i pilnowałem węzłów. Bałem się upadku, ale nigdy nie piły łańcuchowej, dopóki nie przeciąłem sobie ścięgna Achillesa, wisząc na średniej wielkości wiązcie. Później nie bałem się pił łańcuchowych, ale dużo bardziej na nie uważałem.

Używałem plecionej liny nylonowej, która wytrzymuje obciążenie ponad dwóch i pół ton. Aby trzymać się w miejscu i móc pracować, stosowałem węzeł wspinaczkowy, który ślizgał się w górę i w dół, ale zaciskał się, gdy tylko luzowałem swój chwyt. Karabińczyki miały podobną wytrzymałość jak liny. Można więc powiedzieć, że w górze, dwadzieścia pięć metrów nad ziemią i z piłą łańcuchową w ręce, o moje bezpieczeństwo dbały mocarne siły.

Egzystencjalny urok pracy na drzewach polega na tym, że twój los jest w twoich rękach. Stawka jest wysoka – twoje życie – ale podobnie jak w szachach, nie ma przypadków. Wszystko, co musisz wiedzieć, żeby przetrwać, masz przed oczami, a jeśli nie, to dlatego że popełniłeś błąd. Inaczej jest z jazdą samochodem, lataniem samolotem, walką, a nawet przechodzeniem przez ulicę. Grawitację, pęd, tarcie i dynamikę masy znajdującej się na końcu liny można

pojąć i opanować. Zapomniałem zamknąć karabińczyk na linie wspinaczkowej; *głupi, głupi, głupi*. Ściąłem wierzchołek drzewa i ten zaczął lecieć na moją stronę; niewybaczalne. Gdy wierzchołek leci na ciebie – wskutek złego cięcia albo podmuchu wiatru – najpierw zakleszcza ci piłę. Trzeba się odchylić, jednocześnie trzymając wciąż działającą piłę, żeby się nie wyrwała, gdy wierzchołek drzewa w końcu się oderwie. Da się to zrobić, ale lepiej nie musieć.

Zadzwoiła do mnie kiedyś pewna kobieta i powiedziała, że w jej ogrodzie zwałił się na ziemię wielki dąb czerwony. Akurat zmywała naczynia, gdy usłyszała trzask i zdążyła podnieść wzrok, by zobaczyć, jak się obala. Tamtego dnia nie wiał nawet najlżejszy wiaterek. Środek pnia był cały wydrążony przez mrówki; zginąłbym, gdybym wtedy na nim pracował. Było to jedyne drzewo, w przypadku którego moje życie spoczywałoby w rękach losu, chociaż znam kogoś, kto przypiął się liną do gałęzi spróchniałej od środka, która złamała się pod jego ciężarem. Spadł kilka metrów, a potem zawisł, bo złamany konar zatrzymał się na rozgałęzieniu – gdyby nie to, na pewno by zginął. Zapytałem go, co zrobił, gdy przestał się kołysać; odpowiedział, że wspiął się z powrotem na drzewo i wrócił do pracy.

Każdy ma jakiś stosunek do śmierci, czy tego chce, czy nie; wzbranianie się przed myśleniem o niej też jest jakimś stosunkiem do niej. Słyszając o czyjejś śmierci, poznajemy również pewną wersję własnej śmierci, a współczucie, które wówczas odczuwamy, zakorzenione jest w nadziei, że coś takiego – wypadek samochodowy, utonięcie, rak – nigdy nam się nie przytrafi. To niezmiernie przydatna iluzja. Niektórzy posuwają się dalej, celowo podejmując ryzyko, jak gdyby pokonywanie kolejnych przeciwności dawało im coś w rodzaju poczucia sprawczości. Nie daje, ale to dziwactwo psychiki: walcząc z całych sił o życie, w zasadzie nie myślimy o śmierci. Jesteśmy zbyt zajęci.

Umieranie to najzwyklejsza rzecz w życiu, ale też najradykałniejsza. Z żywej, świadomej istoty zmienisz się proch. Na taką przemianę nie można się przygotować. Umieranie, podobnie jak narodziny, ma własne kalendarium, którego nic nie zmieni, więc nie wymaga odwagi ani chęci, chociaż jedno i drugie niezmiernie pomaga. Śmierć unicestwia nas tak dokumentnie, że równie dobrze moglibyśmy w ogóle nie żyć, lecz gdyby nie śmierć, życie, jakie *wiedliśmy*, nie miałoby znaczenia, ponieważ nigdy by się nie kończyło. Jednym z głównych celów życia jest przetrwanie; innym jest znaczenie. W pewnym sensie są one sprzeczne. Sytuacje o doniosłych konsekwencjach – narodziny dziecka, walka, katastrofy naturalne – mają przeogromne znaczenie, natomiast te bezpieczniejsze zwykle go nie mają. Gra w golfa jest przyjemna (albo nie), ma jednak niewielkie znaczenie, ponieważ stawka jest bardzo niska. W tym kontekście ludzie uzależnieni od adrenaliny tak naprawdę są uzależnieni od znaczenia, natomiast ci, którzy szukają niebezpieczeństw, w rzeczywistości szukają konsekwencji. Śmierć jest ostateczną konsekwencją, jest więc też ostateczną rzeczywistością, która daje nam znaczenie.

3 października 2021 roku o 23.35 sześćdziesięciosześcioletnią kobietę, Ruth Hamilton, mieszkankę miasteczka Golden w Kolumbii Brytyjskiej, obudziło głośnie uderzenie: meteoryt wielkości dużej męskiej pięści przebił dach jej domu i wylądował na poduszce w kwiatki obok jej głowy. Przemierzał kosmos przez miliony albo miliardy lat. Trajektoria jego lotu nie była przypadkowa; znając wszystkie zmienne, można by ją obliczyć, ale nie sposób ich znać. Byłoby ich niemal nieskończenie wiele – w przeciwieństwie do pracy na drzewach. Kwestia przeżycia pani Hamilton sprowadzała się do miejsca ułożenia głowy. Resztę nocy spędziła, siedząc w fotelu, pijąc herbatę i wpatrując się w kamień leżący na łóżku.

Przypadkowość w stopniu ekstremalnym uwidacznia się w walce. Pewnego dnia leżałem za workami z piaskiem na amerykańskim posterunku w Afganistanie i poczułem uderzenie piasku o policzek. Pociski lecą z prędkością niemal dwukrotnie większą niż dźwięk, więc docierają do celu sporo wcześniej niż odgłos wystrzału. Posterunek zwykle atakowano z odległości ponad czterystu metrów, pokonanie których zajmuje dźwiękom ponad sekundę. Gdy piasek uderzył mnie w twarz, zdążyłem tylko pomyśleć: *Co to, u diabła, było?*, zanim usłyszałem terkot broni maszynowej. Mało brakowało, a oberwałbym już od pierwszej serii na samym początku godzinnego ataku. Podobnie jak w przypadku Ruth Hamilton z Kolumbii Brytyjskiej, byłoby po mnie, gdybym leżał o kilka centymetrów bliżej.

Kilka dni później znaleźliśmy się pod ostrzałem podczas pieszego patrolu. Ogień padł z drugiej strony wozu, więc prawie nie było jak się ukryć; próbowałem się schować za ostrokrzewem górskim, niewiele grubszym od mojego ramienia. Liście spadały od kul przebijających się przez listowie nad naszymi głowami, a wokół moich stóp wybuchały kłęby pyłu – kolejny przypadek. Od roku bywałem na polu walki i poza nim, ale przypadki nigdy się nie kończyły – po prostu o nich nie myślałem.

Kilka lat później mój znajomy i kolega z misji w Afganistanie, brytyjski fotograf Tim Hetherington, udał się do Libii, by relacjonować tamtejszą wojnę domową. W ostatniej chwili musiałem wycofać się z tego zlecenia, więc Tom w sekrecie sam popłynął do obleganej Misraty. Dotarł tam z raną, a w południe znalazł się w ogniu walki. Dwaj żołnierze wroga tkwili w płonącym budynku niczym w pułapce i rzucali ostatnie granaty na klatkę schodową. Tim udał się z powrotem do kryjówki dziennikarskiej oddalonej o kilka kilometrów od linii frontu; wrócił później po południu i niemal natychmiast został trafiony z moździerza 81 mm przez

oddziały Kadafigo. Jeden z żołnierzy stracił nogi. Tim się oddalił, ślaniając się na nogach i trzymając się za brzuch, by nie wypłynęły mu wnętrzności. Amerykański fotograf, Chris Hondros, oberwał kawałkiem szrapnela, który przeleciał mu na wylot przez tył głowy; nie zabił go na miejscu, ale wywołał śmierć mózgu, nie pozostawiając żadnych szans. Natomiast Tim dostał kawałkiem metalu w pachwinę – niewielkim, lecz najwyraźniej dość dużym, by przeciął tętnicę.

Martwych i rannych umieszczono w pikapie i kierowca popędził do szpitala w Misracie. Tim krwawił na pace, wpatrzony w błękit śródziemnomorskiego nieba. Swoje ostatnie słowa, „Pomóż mi, proszę”, wypowiedział do hiszpańskiego dziennikarza, który siedział obok niego. Czy Tim wiedział, że umiera? Czy się bał? W czasie przyjmowania do szpitala nie miał pulsu. Pielęgniarki zawiozły go na SOR i zrobiły resuscytację krążeniowo-oddechową, ale nie wracał. Wojskowi amerykańscy zapowiedzieli, że bez względu na wszystko wywiozą ciało Tima z Libii z uwagi na jego rolę w dokumentowaniu wojny w Afganistanie. Tima pochowano w Londynie pięknego wiosennego dnia. Msza pogrzebowa została odprawiona w Kościele Niepokalanego Poczęcia w Mayfair, a zamknięta trumna z jego ciałem spoczywała na bogato zdobionym katafalku, tuż przed podwyższeniem prezbiterium. Bliscy Tima podchodzili kolejno, by oddać mu hołd.

Kilka tygodni po powrocie do domu z Londynu znalazłem się w zupełnie innym świecie niż ten, z którego wyjechałem – nijakim, bezbarwnym, bez zbytniego optymizmu ani miłości. Wbrew wszelkiej logice przekonywałem samego siebie, że śmierć Tima była moją winą i że to ja powinienem był zginąć, a nie on. Pewnego dnia przytapałem się nawet na myśli, iż to *on* miał szczęście, że zginął; ja musiałem żyć dalej. Potem wypadki potoczyły się szybko. Skończyło się moje pierwsze małżeństwo. Zmarł mój ojciec.

Mój druhba wypożyczył samochód, pojechał do sklepu sportowego, kupił strzelbę i zastrzelił się na parkingu.

Przypadek może zabić, ale może też ocalić. Pewnego wieczoru byłem w zatłoczonym barze w Nowym Jorku i dostrzegłem kobietę wyglądającą dziwnie znajomo. Niemożliwe, żebym ją znał – nigdy się nie spotkaliśmy – ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że się znamy. Później powiedziała mi, że czuła to samo. Wpatrywaliśmy się w siebie ze zdziwieniem i wkrótce zaczęliśmy rozmawiać. Miała na imię Barbara, była dramatopisarką i miała delikatny irlandzki akcent, który pojawiał się i znikał w zależności od tematu rozmowy. Gdy się urodziła, jej ojciec miał pięćdziesiąt trzy lata; przez całą II wojnę światową walczył w Europie jako żołnierz piechoty. Po powrocie został burmistrzem rodzinnego miasta, założył rodzinę i został ojcem dwanaściorga dzieci, z których Barbara była najmłodsza.

Rozmawialiśmy z poczuciem ulgi, jakbyśmy dawno temu stracili kontakt i w końcu znowu na siebie wpadli. Pobraliśmy się; urodziła się nam córeczka, potem druga. Mieszkaliśmy w Lower East Side na Manhattanie oraz w starym domu w lesie w stanie Massachusetts. Pewnego dnia, gdy moja młodsza córka miała dwa lata, powiedziałem jej, że ją kocham, i zapytałem, czy wie, co to znaczy. „Tak, tatusiu – odpowiedziała – miłość znaczy: *zostań tu*”.

Właśnie. Ale ja miałem jeszcze jedną falę do pokonania.

Jest taki pogląd – nie do obalenia (i nie do udowodnienia) – że gdy człowiek tonie, szczegółowo fantazjuje na temat swojej przyszłości, aby odciąć się od bieżącej sytuacji. Subiektywne doświadczenie czasu przypuszczalnie znika, więc snuje fantazje tak, jakby były one ciągiem dalszym jego dotychczasowego życia. Lata po tym, jak omal nie utonąłem, naszała mnie myśl, że być może

nadal tonę, tylko o tym nie wiem. Może mój niedotleniony mózg snuje fantazje, które zdają się trwać kilka dekad, lecz w rzeczywistości trwają kilka minut lub sekund.

Druga fala była ogromna, ale nie miała takiej mocy jak pierwsza; po kilku sekundach wypłynąłem na powierzchnię i powoli zacząłem płynąć ku plaży. Słaniając się na nogach, wyszedłem na brzeg, upadłem na piach i gapilem się w niebo. Leżałem mniej więcej tam, gdzie moje ciało by wylądowało, gdybym się utopił. Jakie błękitne niebo; jakie białe chmury. *Mało brakowało, a już nigdy nie zobaczyłbyś chmur* – pomyślałem. *Mało brakowało, a już nigdy nie zobaczyłbyś niczego.*

Leżałem na zamrożonym piachu, wyobrażając sobie, że nie żyję: wykrzywione ramiona, piach w ustach, puste oczy. Ktoś wyprowadzający psa mógłby mnie zobaczyć i przez piankę do surfinngu pomylić mnie z martwą foką. Mój samochód stał na parkingu, portfel zostawiłem w schowku; zidentyfikowanie mnie jako właściciela prawa jazdy nie zajęłoby policji dużo czasu. W domu moich rodziców zadzwoniłby telefon, a moja matka by go odebrała. Początkowo by nie rozumiała. Potem zaczęłaby krzyczeć. Wreszcie zadzwoniłaby do ojca do pracy, a on również najpierw byłby dezorientowany, potem by się przeraził, a w końcu doznałby szoku.

Wiadomości pokazałyby małą grupę osób, które kochałem, a potem większe grono tych, którzy tylko mnie znali. Moja siostra przyleciałaby do domu z Anglii, gdzie mieszka, i z rodzicami udaliby się do nieogrzewanego domku letniego, tam zaś znaleźliby górę naczyń w zlewie i koce wojskowe przybite gwoździami nad otworami drzwiowymi, żeby ciepło nie uciekało. Biurko, które zrobiłem z kozła do piłowania drewna i kawałka sklejk, było zawałone materiałami na każdy możliwy temat związany ze śmiercią na morzu: meteorologią, oceanografią, fizyką ruchu fal, stabilnością statków, utonięciem. Pisałem o kutrze rybackim,

który poszedł na dno z sześcioma ludźmi w rejonie Ławicy Nowofundlandzkiej w 1991 roku, chcąc możliwie najwierniej odtworzyć ich ostatnie dni, godziny i minuty*.

Nie znałem żadnego z tych ludzi, ale podczas zbierania materiałów poznałem ich rodzeństwo, dziewczyny i matki. W końcu poczułem, iż jest to tak wścibskie i niestosowne, że ci rybacy zaczęli mi się śnić – zaczęli mnie nawiedzać we śnie. Jeden ze snów był szczególnie wymowny: szedłem sam po plaży, gdzie surfowałem, i natknąłem się na nich, siedzących w kręgu na piasku. Zawałałem się, ponieważ byłem pewien, że są na mnie źli za pisanie książki, ale pomachali do mnie, żebym się do nich przyłączył.

Nie bój się – zdawali się mówić. Czekaliśmy na ciebie.

* Chodzi o książkę *Gniew oceanu* (wyd. I pod tytułem *Sztorm doskonały*), przeł. Katarzyna Bogucka-Krenz, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000 (przyp. tłum.).

CO

Ból w jamie brzusznej naszedł mnie znienacka pewnego wrześniowego ranka, gdy moja starsza córka miała dwa i pół roku, a w domu panował ruch typowy dla prac, którym nigdy nie ma końca. Nagle poczułem palenie pod mostkiem; stanąłem wyprostowany i wcisnąłem palce w brzuch. Był to ból inny niż wszystkie, które dotąd odczuwałem, i nie wiadomo dlaczego pomyślałem: *To taki rodzaj bólu, przy którym później dowiadujesz się, że umrzesz.* Pojawiał się i znikał przez kilka miesięcy. Był zarówno znośny, jak i dziwnie osłabiający, z powodu którego czasami siadałem, jakbym doznał udaru cieplnego. Podobnie jak wiele osób ignorowałem mnóstwo nieprzyjemności – przepuklinę, kamienie nerkowe, złamanie żeber, naderwanie ścięgien, wyczerpujące zajęcia, patrole wojskowe, rany od piły łańcuchowej – i zignorowałem także i tę.

Kilka miesięcy później urodziła się moja młodsza córka, a parę miesięcy po jej narodzinach zaczęła się pandemia covid. Moja starsza córka, Xana, nie chodziła jeszcze do szkoły, więc mogliśmy wyjechać z Nowego Jorku i przenieść się do odległej posiadłości na Cape Cod. Nasz dom zbudowano w 1800 roku na końcu ślepej drogi gruntowej otoczonej lasami sosnowymi należącymi do rządu federalnego. Częścią posiadłości była farma ekologiczna prowadzona przez naszych przyjaciół mieszkających na jej terenie. Cięliśmy drewno na opał, suszyliśmy je i się nim dzieliliśmy, przeganialiśmy lisy i kojoty od kurników, sprzedawaliśmy żywność, usuwaliśmy drzewa, które zwały się na drogi wskutek przechodzących nawałnic.

Zima była łagodna, a wiosna chłodna i długa, zaś czerwiec przyniósł upały i południowo-zachodnie wiatry, które wносиły popołudniowe wysokie fale w zatoce oraz pokrywały kałuże i parapety jasnozielonym pyłem. Xana nie знаła innych dzieci z powodu covidu; ludzka rasa składała się z mojej żony i mnie oraz par żyjących na farmie plus z rodziny z dwiema córkami mieszkającej przy naszej drodze. Pewnego dnia Xana i ja poszliśmy na wybrukowaną drogę, by porysować sobie kredą, a nazajutrz rano wróciliśmy tam, by zobaczyć, czy rysunki przetrwały ulewę, która przeszła w nocy. Nie było po nich śladu.

– Deszcz by tak nie zrobił, gdyby zobaczył, jakie one piękne – powiedziała Xana. *I w tym cały problem* – pomyślałem. Nie mamy pojęcia, czy wszechświat nas zauważa, a tym bardziej czy go obchodzimy. Gdy później próbowałem zrozumieć, dlaczego przez pół roku ignorowałem ból brzucha, jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mi do głowy, była taka, że dałem się zwieść dorosłej wersji nadziei mojej córki. *Wszechświat na pewno nie wykańcza dobrych ludzi bez powodu* – pomyślałem. *A już na pewno nie ojców małych dzieci.*



OPOWIEŚĆ, KTÓRA ZACZYNA SIĘ TAM, GDZIE KOŃCZY SIĘ ŻYCIE

Sebastian Junger przez lata patrzył śmierci w oczy – jako korespondent wojenny przemierzał najniebezpieczniejsze zakątki świata, ryzykując wszystko, by opowiadać historie z frontów, o których wielu wołało milczeć. Paradoksalnie jednak, to nie w strefie działań wojennych, lecz w zaciszu własnego domu, podczas spokojnego letniego popołudnia, znalazł się najbliżej śmierci.

Niespodziewany ból, nagła hospitalizacja, a potem ciemność... I spotkanie z kimś, kogo dawno już pożegnał – zmarłym ojcem, który wyciąga do niego rękę i mówi: „Nie bój się. Zajmę się tobą”. To nie była wizja, to nie był sen – to była granica.

W momencie mojej śmierci to głęboko osobista, wstrząsająca i poruszająca opowieść o tym, co wydarzyło się na progu istnienia. To medytacja nad kruchością życia, tajemnicą śmierci i siłą więzi, które przetrwają nawet to, co ostateczne.

CZY MOŻNA WRÓCIĆ Z MIEJSCA, Z KTÓREGO NIKT NIE WRACA?

SEBASTIAN JUNGER NIE TYLKO WRÓCIŁ –
PRZYNIÓSŁ ZE SOBĄ HISTORIĘ, KTÓREJ NIE DA SIĘ ZAPOMNIEĆ

PATRONI:



SZTUKATER.PL



Talizman.pl
SKLEP EZOTERYCZNY



Psychotronika.pl

Pierwszy polski portal psychotroniczny